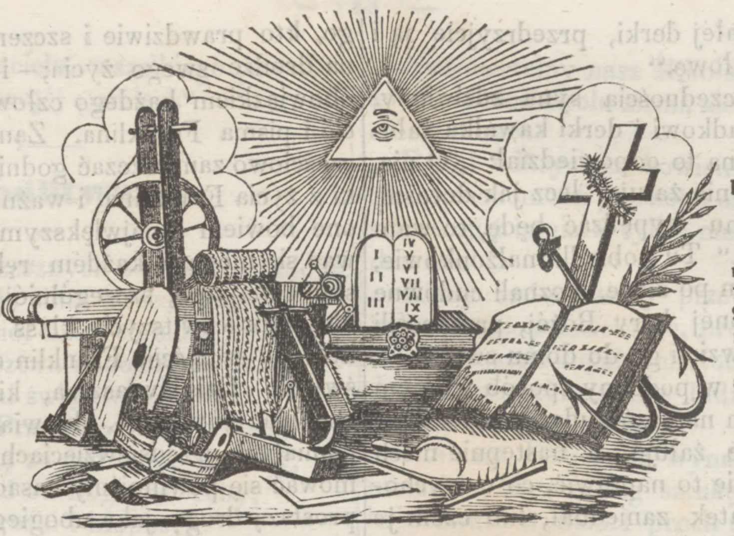
№ 6.
Warszawa.
Dnia 29 Stycznia (10 Lutego).
1856.
Niedziela 1a POSTU.



KANTOR GŁÓWNY
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.
PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszaws. płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże któryś twój kościół corocznem przez dni czterdzieści zachowaniem postu oczyszczasz: spraw, ażeby lud twój przez swoje dobre uczynki wysłużył tę łaskę, którą przez post otrzymać usiłuje. (Modlitwa kościelna na Niedzielę 1 postu).

Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

Gdybyśmy zapytali któregobądź ojca: dlaczego człowiecze pracujesz, po co się tak męczysz, czemu sobie na starość nie pofolgujesz, wszak dosyć masz dla siebie na resztę twego życia; niezawodnie nam odpowie: „Przecież mam dzieci, i dla nich pracuję.“ I w saméj rzeczy, dla dziecito pracuje ojciec, dla dzieci matka od ust odrywa sobie ostatni kęs chleba, aby ich głód uśmierzyć, strzeże ich jak oka w głowie i chętnie poświęciłaby życie, aby tylko szczęśliwemi być mogły. Lecz sam majątek i dobre mienie nie uszczęśliwią ani dzieci, ani rodziców.

Następujący przykład najlepiéj nas przekona, jakto dzieci śladem rodziców swoich postępować zwykły. Pewne małżeństwo miało u siebie staruszka ojca, który oddał im cały majątek, aby go za to, na starość, kiedy już dla słabości i ułomności pracować nie mógł, żywili i pielęgnowali. Pierwszy rok jako tako przeszedł, ale na drugi, już się staruszek uprzykrzył synowéj; a na trzeci już jéj było za ciasno w izbie, i tyle dokazywała z mężem, że mąż nie pomnąc na obowiązki synowskie, dla miłéj spokojności i zgody z żoną, kazał się ojcu do piekarni wyprowadzić, bo tam niby miało być dla starego ciepléj. Ale niezadługo i tu synowéj zawadzał, bo go ścierpieć nie mogła, poczęła mu ujmować strawy i poniewierać zgrzybiałym dziadkiem.— Mimo tego wszystkiego, Pan Bóg w wyrokach swoich niepojęty, staruszka nawet na jego własne prośby z tego świata nie zabierał. Nareszcie niecni małżonkowie uradzili starego ojca wyprawić z torbami na żebraczkę, bo jak powiadali, ciężkie czasy, a on stary, ułomny, kaleka, nic nie robi, i może go ludzie czém opatrzą. O niewdzięczne dzieci! lecz i kara Boża niedaleka, bo jak ty czcisz rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje. Otóż kiedy tak uradzili, zaraz chcieli z domu wyprawić staruszka. Ponieważ to się działo zimową porą, dali mu podartą derkę na drogę, by się choć jako tako mógł od zimna zasłonić; co gdy mały Staś, wnuk starca, a godny swego ojca synek obaczył, podskoczył ku dziadkowi, chwycił za derkę, którą go przyodzieli i krzyknął: „Tatko, nie

dajcie dziadkowi całéj derki, przedrzyjcie ją i dajcie mu tylko połowę.“

Ojciec taką oszczędnością syna zdziwiony, zburczał go, że dziadkowi i derki kawałka żałuje. Ale mu synek na to odpowiedział: „O nie, ja dziadkowi derki nie żałuję, lecz jak dorosnę i was znowu z domu wypędzać będę, to wam dam drugą połowę.“ Tu pobledli małżonkowie, spojrzeli z drżeniem po sobie, poznali cudowne ostrzeżenie zasłużonéj kary Bożéj, przeprosili starca i napowrót wzięli go do domu swego.

Jeżeli kto z nas w podobny sposób winnym się być czuje, niech najprzód uderzy się w piersi i za przewinienie żałuje, a następnie niech najusilniéj stara się to naprawić, co w wychowaniu swych dziatek zaniedbał, lub czém je mógł zgorszyć. Dobre wychowanie będzie dla dzieci świętą i najdroższą po nas spuścizną, albowiem choćby zyskały cały świat, jeśliby duszę swoję zatraciły, cóżby im to pomogło?

Benjamin Franklin.

Przed stu pięćdziesięciu laty, w północnéj Ameryce, w mieście Bostonie, należącém wówczas do kolonij angielskich, z ubogich rodziców, mających fabrykę mydła, urodził się Benjamin Franklin—powszechnie znany, jako dobroczyńca ludzkości, wzór wszelkich cnót prywatnych i publicznych. Z prostego rzemieślnika dorobił się wielkiego majątku, i dostąpił najwyższych w kraju godności. Do tych zaś bogactw i dostojeństw, przyszedł Franklin nie odrazu, nie ślepym trafem losu, lub intrygami—ale zwolna i przez wszystkie pośrednie szczeble, pracowicie i mozolnie.—I nawet, mówiąc prawdę, ten wielki Franklin nie był człowiekiem nadzwyczajnych zdolności. Przymioty, które mu zjednały tak wielkie u ludzi znaczenie, i zlały nań wszelkie dary szczęścia, mogą być przymiotami każdego, kto ma silną wolę i wytrwałość postępować tak, jak powinien, i jak raz sobie postanowił. Całą tajemnicą powodzenia Franklina było to, iż w życiu swojem miał zawsze cele szlachetne, a środki, jakich do dopięcia tych celów używał, były: niezmordowana i ciągła praca, nieskazitelna uczciwość i jak największa oszczędność.

Dlatego też Franklin, po wszystkie czasy będzie arcywzorem do naśladowania dla każdego, kto prawdziwie i szczerze chce oświecić się na drodze swego życia;—i dlatego też, niemal obowiązkiem każdego człowieka jest, znać życie i pisma Franklina. Zamiarem naszym jest, częściowo zamieszczać godniejsze uwagi wypadki z życia Franklina, i ważniejsze jego nauki;—one bowiem z największym pożytkiem znajdować się mogą w każdém ręku, bez względu na stan i majątek, szczególniéj też pożyteczne są dla najpracowitszych klass społeczeństwa, dla których szczęścia, Franklin całe swoje życie poświęcił. Dziś zwłaszcza, kiedy przemysłowy, spekulacyjny ruch, objawia się w tylu nowych i śmiałych przedsięwzięciach—tem więcéj przejmować się powinniśmy zasadą, że jedyną i najprostszą drogą, jaka ubogiego człowieka do bogactwa, szacunku i zaszczytów doprowadzić może, jest: *praca*, *oszczędność*, *prawość i szlachetność*.

Zaczniemy od dosłownego zamieszczenia tu następującego listu Franklina, pisanego do przyjaciela, a zaświadczającego o dobrym uczynku, z piękną zarazem nauką moralną połączonym:

„Kochany przyjacielu! List Twój, opisujący przykre położenie, w jakiém się znajdujesz, odebrałem i mocno nad tobą boleję. Załączam tu dziesięć luidorów (*), których Ci nie śmiem *darować*, ale ci je *pożyczam*. Skoro przy pomocy téj kwoty, na nowo szczerze weźmiesz się do pracy, spodziewam się, iż wkrótce interesa swoje do porządku doprowadzisz; wtedy zaś, gdy spotkasz uczciwego człowieka, będącego w położeniu, w jakiém Ty obecnie się znajdujesz, zwrócisz ten dług, przez wypożyczenie mu moich dziesięciu luidorów, i również go zobowiążesz, aby Ci się w tenże sam sposób, jak Ty mnie, z długu uiścił, a to, jak tylko mu możność tego dozwoli, i podobna przedstawi się sposobność.—Mam błogą nadzieję, iż te dziesięć luidorów, w ten sposób, przez wiele rąk przejdą, zanim może, natrafią na nieuczciwego człowieka, który je w tym obiegu zatrzyma.—Używam takiego fortelu, aby więcéj dobrego sprawić małą ilością pieniędzy.— Nie jestem dosyć bogatym, abym zbyt wiele, na dobre mógł poświęcić uczynki, i dlatego staram się wymyślać środki, jakiemiby za pomocą małych nawet kwot, można jak najwięcéj sprawić dobrego.— Życzę

(*) Luidor odpowiada wartości półimperjała.

Ci, kochany przyjacielu, wszelkiego powodzenia, i polecam się Twojéj pamięci.“

Modlitwa.

—

Modlitwa dla nas grzesznych zbawienna i błoga.
Modlitwa nas uzbraja silną tarczą Boga,
Modlitwa nieprzyjaciół naszych sidła kruszy,
I wléwa moc zwycięztwa i spokój do duszy.
Modlitwa nas darami świętemi napawa,
I uczy wykonywać Przedwiecznego prawa,
I żałować ze skruchą za codzienne grzechy,
I w pokoju wyglądać od Boga pociechy,
I znosić poniżenia, troski i kłopoty;
Odziać się wytrwałością, zamiłować cnoty,
I korzyć się przed Boga wszechmocném obliczem,
I poznać: że prócz Boga wszystko tu jest niczem,
I wybłagać to wszystko, co jest doskonałém,
I kochać swoję wiarę z największym zapałem;
Bo wiara nasza święta pod znamieniem krzyża,
Krzepi prawych wyznawców, bezbożnych poniża.
Więc w troskach naszych, w Bogu połóżmy nadzieję,
W Jego wszechmocność zawsze wierzyć nam potrzeba,
I dlatego codziennie, gdy zorza obleje
Porannem światłem ziemię, módlmy się do nieba.
Serce to nasze płoche, grzechami zatrute,
Ściąga na nas głód, wojnę i inne cierpienia!...
Trzeba więc nam koniecznie przez żal i pokutę,
Modląc się, na kolanach błagać przebaczenia.
Módlmy się szczerze i w pokorze ducha,
A gdy Bóg dobry rzewne łzy zobaczy,
Nieszczęścia wstrzyma, prośb naszych wysłucha,
I nam grzesznikom błogosławić raczy.

OBJAŚNIENIE BLIZKO-ZNACZĄCYCH WYRAZÓW:

„wynalazek i odkrycie.“

—

Ponieważ często w pisemku naszém traktować będziemy o wynalazkach i odkryciach, wypada więc dać prawdziwe wyobrażenie, co jest wynalazkiem, a co odkryciem.

I tak, kiedy istnienie krajów, rzeczy i t. d. przypadkiem, lub przez odszukanie, światu oznajmionem zostanie, zowie się to *odkryciem*.

Mówi się: Kolumb odkrył Amerykę — w Ameryce odkryto kopalnie złota.

Nieśmiertelny nasz Mikołaj Kopernik odkrył, że nie słońce około ziemi, ale ziemia około słońca się obraca.

Przed odkryciem bowiem Ameryki, kopalni złota, wiadomości pewnéj o obrocie ziemi, wszystko to już istniało, tylko nie było ludziom wiadomem.

Kiedy znów rzeczy przedtém nieistniejące, jedynie przez dociekanie, próby, zmieszanie różnych cząstek kopalnych lub innym sposobem, do wiadomości i użytku ludzkiego przyjdą, zowie się to *wynalazkiem*.

I tak np. Fenicjanie wynaleźli sposób robienia szkła, Guttenberg sztukę drukarską, Bertbold Swarc wynalazł proch do strzelania i t. p.

Pogadanki starego rzemieślnika.

—

I.

Mój majster, powiadam wam, to bardzo mądry człowiek, a jak mówi, to tak słowa mu idą, jak woda, kiedy płynie. Ho! ho! nasłuchałem go się nieraz, bo nie opuści żadnéj okazyi, żeby do nas i serdecznie i rozumnie nie przemówił. — W mówieniu zaś swojem zawsze zmierza ku Bogu, ku religii świętéj katolickiéj, a tak jakoś poczciwie, tak łatwo do poznania, że słuchając, aż zimne poty przechodzą po człowieku, kiedy się czuje, że mówienie jego można w czém do siebie stosować. Czasem to i ostro fuknie, a czasem, to stuknie, bo powiada, że jak nie byłoby kary, toby nie było miary. Kochamy go jednak jak ojca, ale i boimy się zarazem, bo jak dobry, to go przyłóż choć do rany, a jak zły, to uciekaj za dziesiątą granicę, i nie oglądaj się za siebie. Nosi się ze staroświecka, w butach ze sztylpami po kolana, w kapocie sieraczkowéj, wyszywanéj taśmami, i przepasanéj szerokim, czarnym wełnianym pasem. Kołnierz od koszuli równo wywinięty, bieli mu się zawsze wokoło szyi, w zimie okrywa głowę czapką z siwego baranka, w lecie aksamitną, a zawsze chwacko na bakier przekręconą, i bez kija z mosiężném okuciem gałki i sęczków, nigdy nie wyruszy z domu. Po kiju można go zdaleka usłyszeć, jak wraca do domu, bo co krok, to sztuka nim w ziemię, a po wąsach siwych, krótko przystrzyżonych poznać, czy zły, czy dobry; bo jak dobry, to wąsy kręci do góry i uśmiecha się, jak zaś zły, to ciągnie na dół jak na urwanie. Znam ja go dobrze.

prawie na wylot, bo ośm lat terminu u niego się przebyło, a teraz czeladnikiem już drugi rok jestem. Co więc sobie przypomnę z jego pogadanek, to wam będę opisywał, ale bez porządku, tylko tak, jak mi przyjdą do głowy.

Otóż będzie temu z kilka tygodni, w dzień świąteczny, siedziałem sobie przy oknie, i czytałem książkę. Trzech chłopców terminatorów stało sobie przy piecu, i zwyczajnie jak młodzi, śmieli się, szeptali, odpychali, bo na dworze mróz był trzaskający, więc każdy garnął się do ciepła. Wtém roztworzyły się drzwi i wszedł pan majster. Cicho się zaraz zrobiło między chłopcami, każdy z uszanowaniem wyprostował się, jak żołniérz na warcie, ja powstałem także, a majster pokręcając wąsa do góry, popatrzył po nas troszkę, i po chwili odezwał się:

— Cóż dzieci, przykrzy się wam tak siedzieć bez roboty, z założonemi rękoma przy piecu?

— A przykrzy się, proszę pana majstra — odrzekł pierwszy Wicuś, wielki figlarz i rozpustnik, co go majster zawsze nazywał wisusem.

— No, no — odezwał się majster — ot zaczęło wychodzić dla was pismo: *Czytelnia niedzielna*, to będziecie mieli rozrywkę; tylko pamiętajcie czytać mi pilnie, z uwagą, nie samemi oczami, ale głową i pamięcią, żeby zawsze zostało w nich to, co przeczytacie.

— Ej! proszę pana majstra—odezwał się śmiało Wicuś, bo widział, że majster w dobrym jest humorze—ej! myby woleli troszkę polatać, poślizgać się, człowiek cały tydzień nasiedzi się przy robocie, że aż kości bolą, to gdzie mu tam czytanie ma przyjść do głowy.

— Tak powiadasz—mruknął majster i pociągnął wąsa na dół, ale chłopcy tego nie uważali, i zaraz odezwał się Jędruś, a majster nazywał go Mądruś, bo za trzech miał sprytu.

— A tak, proszę pana majstra, bo na cóż to czytanie? przecież my będziemy tylko rzemieślnikami, a nie żadnymi uczonymi, albo jakimi tam nauczycielami.

— Oj! Mądruś — odrzekł majster — widzę, że ty nie zawsze bywasz mądrusiem, ale czasem zdarzy ci się być głupusiem. Otóż żebyś mi nie robił wstydu, żeby ludzie wiedzieli, że cię słusznie nazwałem Mądrusiem, to wytłumaczę ci, na co się zda czytanie. Baczność więc chłopcy! mówił daléj majster, zakładając laskę na ramię, uszy do góry!

W tém miejscu Wicuś uszczypał Jędrusia, że ten aż głośno krzyknął oj! — Majster obadwa wąsy szarpnął na dół, pogroził palcem i rzekł:

— Potém o tém pogadamy Wisusie, poczekaj! — mówił daléj: Czy znacie woły, owce, konie, wrony, wróble? hę?

— Znamy, proszę pana majstra — odrzekli wszyscy trzej zgodnie, jakby orzech zgryzł.

— Czy one uczą się czego, albo czytają jakie książki?

— Nie uczą się, i nic nie czytają, proszę pana majstra.

— A dlaczego?

— Dlatego... dlatego... proszę pana majstra, poczęli bąkać chłopcy, ale im się odpowiedź jakoś nie składała, aż po chwilce odezwał się Jędruś:

— Dlatego nie uczą się i nie czytają, że już im tak Pan Bóg dał.

— Otóż mądrze powiedziałeś mój mądrusiu, odrzekł majster—bardzo mądrze. Dlatego téż, przez czytanie i uczenie się, nie mogą być coraz mędrszemi. Bóg im dał wszystko, co potrzeba do ich użycia: ptakom dał pierze, a zwierzętom sierść, żeby im w zimie było ciepło; dał im kły, szpony, kopyta, ostre zęby i dzioby, żeby się mogły bronić przed napaścią, dał im możność żywienia się surowém mięsem, ziarnem, trawą, boby nie umiały sobie przygotować pokarmu; jednego tylko człowieka Bóg prawie z tego wszystkiego ogołocił, bo mu dał nagie ciało, nic nie dał do obrony, i tak stworzył delikatnym, że prawie żadnego posiłku nie może brać w stanie surowym. Żeby więc człowiek nie umiał sobie zrobić odzienia, toby zmarzł w zimie; żeby nie umiał przygotować jedzenia, toby umarł z głodu; żeby wreszcie nie umiał zrobić sobie narzędzi do obrony, jak strzelba, nóż, pałasz, dzida, toby go już dawno pożarły dzikie zwierzęta. Ale ze wszystkiém tém człowiek nie przyszedł na świat odrazu, tylko wszystko to musiał sobie sam wymyślić, i dlatego dał mu Pan Bóg rozum, czyli możność myślenia i wynajdywania zawsze czegoś nowego, a ten rozum jest tak wielki, że człowiek nim opanował świat cały: zwierzęta mocniejsze jak wołu, konia, obrócił do swojéj posługi, a dla innych dzikich tak się zrobił strasznym, że te na sam widok człowieka uciekają z największem przerażeniem. A że jeden człowiek wymyśli to, a drugi owo, więc uczenie się wzajemne jest koniecznie potrzebne, bo co dwie głowy, to nie jedna. A kie-

dy dwie głowy lepsze od jednéj, to tysiąc, albo i więcéj lepsze od dwóch, a że na nauczenie się tego, co tysiąc głów wymyśliło i czasuby człowiekowi nie wystarczyło, boby trzeba było latać z uchem od jednego do drugiego, więc ludzie wymyślili pismo i druk, żeby to się prędzéj rozchodziło po świecie, i dlatego potrzebne jest czytanie, czyli nauczanie się tego, co inni ludzie wymyślili.—Ztąd się potworzyły różne rzemiosła, stany, zatrudnienia: jeden robi buty, drugi suknie; ten różne naczynia i sprzęty, ów płótno, sukno, nici i różne materje; ten znowu opisuje to wszystko, a drugi drukuje; dość, że gdzie się obrócicie, wszędzie robią, pracują i przemyśliwają, jak każdą rzecz i prędzéj i łatwiéj i lepiéj zrobić.—Dlatego też czytajcie i uczcie się, żeby rozum wasz codzień był lepszy, i żebyście co dzień mędrsi byli od zwierząt.—Więc wiecie teraz na co się wam zda czytanie?

— Wiemy, żeby być mędrszemi od zwierząt, które nic nie umieją—odrzekli wszyscy, a Jędruś dodał:

— To Labuś, proszę pana majstra, już nie potrzebuje czytania.

Labuś byłto trzeci chłopiec, tak przezwany, że ogromnie był ciężki do pracy, a właściwie nazywał się Maciuś. Jeść wiele, spać długo, wałęsać się z kąta w kąt, złasować coś pokryjomu, o! na to rozumu miał aż zanadto, ale do pracy, do roboty, ani weź, tylko wszystko a nuże!—a idźże!—a rusze się!—Jak usłyszał mówiącego coś o sobie Jędrusia, zaczerwienił się po uszy, mruknął coś niezrozumiale, myśmy się w kułak roześmieli, a majster zapytał:

— I dlaczegóż to Maciuś już nie potrzebuje czytania?

— A bo on, proszę pana majstra, już mędrszy od zwierząt.

— Ale... strasznieś mądry—mruknął Maciuś.

— I ty także—ofuknął się Jędruś—patrzajcie go.

— Cicho dzieci! porządek!—zakomenderował majster, wykręcając laskę między palcami, baczność! Mądruś wytłumacz się, dlaczego zażartowałeś sobie z Maciusia, i nazwałeś go mędrszym od zwierząt? he?

Jędruś śmiało wystąpił, i mimo dosyć groźnéj miny majstra, odrzekł:

— Bo dziś rano, proszę pana majstra, na kominie w brytwannie smarzyła się w maśle pieczeń, przy kominie stała pani majstrowa, na ławce leżał kot, i udawał, że śpi, a za szafą siedział Maciuś, i jednem okiem także udawał śpiącego.

— Albo to prawda?—przerwał Maciuś, strasznieś...

— Cicho! — krzyknął majster, i sztuknął ze złością kijem.—Jędruś mów daléj!

— Wtem pani majstrowa wybiegła z kuchni, pieczeń zaparkotała, a kotek i Labuś otworzyli oczy. Kotek zaraz hyc na komin, umaczał mordkę w gorącém maśle, zatrząsł łbem, i z miauczeniem uciekł na izbę. Labuś zaś kawał chleba wrzucił w masło, a jak nasiąkł, wyjął go widelcem, i sam smyrgnął na podwórze, śmiejąc się z głupiego kota, że nie umiał sobie w tak małéj rzeczy poradzić. Jak więc mi to przyszło do głowy, zaraz sobie pomyślałem, że Labuś już nie potrzebuje czytania, bo on mędrszy od kota, a kot przecież taki zwierz, jak inne.

Jak Jędruś skończył, wszyscy zaczęliśmy się śmiać, nawet majster z uśmiechem pokręcił wąsa do góry, a między chłopcami taka powstała zwada, że myślałem, iż się pobiją. Ale majster groźnie stuknął laską, zawołał: milczeć małe łotry! i gdy się uspokoiło, mowił daléj:

— Wszystko, com tu usłyszał, to mnie nie cieszy, bo jeżeli Maciuś brzydki jest łakomca, to Jędruś jest złośnik, bo w chęci tylko dokuczenia Maciusiowi opowiedział jego psotę.

Dlatego też potrzeba, żebyście czytali i uczyli się, bo przez to nietylko będziecie mędrszymi od zwierząt, ale i lepszymi od nich, bo będziecie wiedzieli, co jest złe, a co dobre, jak należy kochać wszystko co poczciwe, a nienawidzić, co jest złe, niegodziwe.

Bóg bowiem, kiedy stworzył człowieka, dał mu duszę nieśmiertelną i rozumną, czego nie mają zwierzęta. Potem wygnał go z raju za to, że zakosztował owocu z drzewa wiadomości złego i dobrego, czyli, że przestąpił zakaz Boski, czego także nie znają zwierzęta, bo one nie mają ani rozumu, ani nie wiedzą, co jest złe, a co dobre. Ot np. w tym wypadku z pieczenią: czy kot wiedział, że go masło sparzy, i że szkodę robi?

— Że go masło sparzy, to nie wiedział—odrzekł Jędruś—bo kot głupi, ale że szkodę robi, to wiedział dobrze, bo on nigdy na taką rzecz przy pani majstrowéj nie poważy się.

— A wiecie dlaczego? Oto dlatego—odpowiedział majster—że żona moja parę razy wybiła go, więc się nauczył nie robić przy ludziach

szkody, ale jak ich niema, wtenczas zdaje mu się, że mu wszystko wolno, co zechce. A że liznąwszy masła zpod pieczeni, nie miał tego za złe, najlepiéj możecie się przekonać z tego, że się potem nie krył z tém, co zrobił, ani się wstydził lub czerwienił, ale uciekł na izbę i miauczeniem zdawał się skarżyć przed ludźmi ze swego wypadku, i wydawać swoje łasostwo. Maciuś widzicie, inaczéj zrobił, bo smyrgnął na podwórze z chlebem, a teraz zaczerwieniony, zapłoniony stoi, wstydzi się, i nie śmie oczów podnieść, bo wie, że zrobił to, co nie powinien. Ale nie śmiejcie się z Maciusia, niech tylko czyta i uczy się, to on się poprawi ze wszystkiego i nie będziecie go nazywać Labusiem, ale zuchem i chwackim chłopcem, prawda Maciuś? poprawisz się?

— Poprawię, proszę pana majstra, wybąkał Maciuś, nie śmiejąc oczów podnieść do góry.

— Pamiętajże mój Maciusiu — odezwał się majster, tuląc chłopca do piersi, i całując go w głowę, gdy ten z rozrzewnienia aż się zanosił od płaczu—tyś dobry chłopiec, tylko masz strasznie lichy rozum, i nie wiesz, że łakomstwo i próżniactwo to bardzo wielu ludzi na szubienicę doprowadziło. Jak tylko będziesz pilnie czytał *Czytelnię niedzielną*, ja wiem, że się poprawisz; no, nie płacz chłopcze, nie płacz!

I to rzekłszy majster, zaczął przechadzać się w milczeniu po izbie, rzucając kiedy niekiedy okiem ku piecowi. Maciuś tymczasem w płaczu nie ustawał, bo mnie samemu coś koło serca krwawiło. Wicuś stał zamyślony, a Jędruś kręcił się, jak na rozżarzonych węglach, bo mu widać przykro było, że się stał powodem płaczu Maciusiowego. Majster pewnie to zmiarkował, bo po chwili, pokręciwszy tak i owak wąsem, zatrzymał się przed Jędrusiem, i popatrzywszy mu ostro w oczy, zapytał się:

— Cóż Mądrusiu miło ci, że Maciuś płacze, i że dostanie rózgi za swoje łakomstwo?

Tu się wszyscy trzej chłopcy z obawą poruszyli, Maciuś głośniéj zapłakał, a majster mówił daléj:

— A że ty oskarżyłeś go, więc ty go bić będziesz, ale pamiętaj Mądrusiu tylko dobrze, aż do krwi. Wicusiu idź po rózgi.

Na te słowa Maciuś i Jędruś odezwali się płaczem, jak organki, majster kiwnięciem głowy wstrzymał Wicusia, po chwili odezwał się:

— No! nie płacz Jędrusiu, nie płacz, ja wiem że żałujesz swego oskarżenia, bo ty dobry chłopiec, i przykro ci patrzeć na płacz Maciusia. Pamiętajcie bowiem chłopcy, nigdy nie robić tego drugim, co wam jest niemiłe, co uważacie dla siebie za złe i szkodliwe; a że rozum wasz jeszcze jest jako młody, strasznie mały, i trudno wam wiedzieć, co złe, co dobre, więc czytajcie i uczcie się. Kiedy bowiem nie znasz jakiéj rzeczy, lub lękasz się zjeść coś takiego, czego nie jadłeś jeszcze, i nie widziałeś, to idziesz do ludzi starszych i mędrszych, i pytasz się ich, co to jest? czy to nie będzie mi szkodzić? Tak też i w życiu, nieraz człowiek zrobi coś takiego, co nie wie, czy złe czy dobre, więc należy czytać i uczyć się, żeby poznawszy co jest złe i szkodliwe, strzedz się go dopełniać. Tym bowiem sposobem człowiek jedynie codzień stawać się będzie lepszym, a zatem i wyższym od bydląt, bo jeść, pić, skakać, psocić, spać i nic nie robić, to umie każdy zwierz, każde bydlę; ale robić dobrze, być poczciwym, pracowitym, nie być łasą i łakomcą, i przy tych słowach majster obrócił się do Maciusia, a późniéj do Jędrusia— nie być złośliwym, dokucznikiem, to tylko umie jeden człowiek, i wtenczas jest prawdziwym człowiekiem, bo rozumu, owego daru Bożego, używa na dobre.— Używając go zaś na złe dla siebie i dla swoich bliźnich, staje się prawdziwem bydlęciem, czego strzeżcie się, jak ognia, bo gdy na sądzie ostatecznym Bóg powie: Jędrusiu, albo Maciusiu dałem ci rozum, żebyś był człowiekiem, miałeś książki, żebyś czytał i uczył się, dla czegóż mimo tego przeżyłeś życie swoje na ziemi jak bydlę i byłeś tylko bydlęciem? To cóż wtenczas odpowiesz, hę? Oj! będzie wtenczas płacz i zgrzytanie zębów, ale już po niewczasie. Dlatego moje dzieci uczcie się i czytajcie, i bądźcie wdzięczni dla tych, co myślą i starają się, aby was przez książki użyteczne porobić ludźmi takiemi, jakiemi Bóg chciał żeby byli ludzie. Teraz więc wiecie, na co się wam przyda czytanie?

— Wiemy, proszę pana majstra!

— No, na cóż?

— Żebyśmy nie byli jak bydło—odrzekł Wicuś, a Jędruś dodał, i żebyśmy co dzień byli mędrsi i lepsi.

— I żebyście się, zakończył majster, co dzień lepiéj kochali i szanowali. Dlatego przeproś Jędruś Maciusia za zmartwienie, które mu sprawiłeś.

Jędruś zaraz odwrócił się do Maciusia, tak się zaczęli serdecznie całować, że omało co znowu się nie popłakali, a gdy majster wszystkich ugla-

skał po twarzy, i ucałowawszy w głowy jak ojciec, miał już wychodzić, obstąpili go dokoła, i Wicuś odezwał się z wielką nieśmiałością:

— Czy możemy, proszę pana majstra, trochę pośliźgać się na podwórzu?

— Dlaczegóż nie—odrzekł majster—po pracy i nauce zabawić się skromnie i uczciwie można, i należy nawet, ale pamiętajcie chłopcy, że tylko po pracy i nauce.

Zaledwie majster wyszedł z izby, schody tylko zadudniały, tak chłopcy ochoczo wyruszyli na ślizgawkę.

Rozsądna żona.

Wincenty Sakowicz majster szewcki był człowiekiem pracowitym, trzeźwym i statecznym, i wiodło mu się dobrze: sklep był zawsze zaopatrzony obficie w towar, czeladź biorąc przykład z majstra, była pilną w robocie i porządnego prowadzenia się, nie dopuszczał bowiem Sakowicz poniedziałkowania, rujnującego i zdrowie i kieszeń, czego miał liczne przykłady na innéj czeladnéj młodzieży, która zwykle całotygodniowy ciężki zarobek trwoniła przez niedzielę i poniedziałek, na niedorzeczne a często grzeszne uciechy.

Jak Sakowicz zacnym był majstrem, tak też był dobrym mężem i ojcem, i największą w gronie rodziny przyjemność znajdował, to idąc wspólnie z niemi w święto do kościoła, to w wolnych chwilach od pracy naradzając się z żoną o przyszłości dzieci i potrzebach domu; to wreszcie bawiąc się z malcami, których mu Bóg dał trzech i jednę córeczkę, co była pieszczotą ich obojga; to też miło było patrzeć na tak dobrane stadło, gdyż ze swéj strony żona była rozsądną i cnotliwą niewiastą.

Wśród tego nadszedł rok 1852, pamiętny straszną epidemią. Nasz Sakowicz zaraz za jéj zjawieniem się, w obawie o zdrowie i życie tak rodziny, jak i czeladki pieczy jego powierzonéj, zaopatrzył się w środki ochronne, do których, według źle zrozumianéj rady, przydał przedewszystkiem kilka flaszek mocnéj wódki zaprawnéj kroplami, któréj ze śmiesznéj obawy zaczął nad miarę używać; z rana przed posiłkiem i po posilku, wypijał po dużym kieliszku, tożsamo powtarzał w południe i wieczorem, a nadto przed każdem wyjściem na miasto, i za każdym powrotem. Rozsądna żona przeczuwając złe ztąd skutki, czyniła mu kilkakrotnie łagodne w téj mierze przełożenia, ale Sakowicz, który właśnie wódce przypisywał, że dotąd epidemii nie uległ, nie dał sobie tego wyperswadować, i nie przestał daléj używać zgubnego trunku, jako środka ochronnego, któryto środek pomnażał, za każdem wyczytaniem w kurjerku, o zwiększaniu się w mieście cholery. Żona widząc bezskuteczność swych przełożeń, zaprzestała ich czynić, pokrzepiając się nadzieją, iż za ustaniem cholery, mąż zmieni tryb życia.

Ale zawiodła się w tém poczciwa kobiéta, cholera zmniejszała się stopniowo, ustala nareszcie, a Sakowicz nie przestał smakować w zbawczym, jak go nazywał, napoju; jedném słowem, został nałogowym pijakiem. Wnętrzności jego, drażnione trunkiem, nie mogły się bez takowego obejść, i Sakowicz też uległszy zgubnéj namiętności, pił coraz więcéj. Zatrwożona żona o przyszłość męża, swoję i dzieci, zalewała się gorzkiemi łzami, które będąc Sakowiczowi wyrzutem, wypędzały go z domu. Z opuszczeniem się majstra, opuściła się i czeladź, tem więcéj, iż coraz roboty ubywało, bo źle i bez dozoru wykonywana, odstręczała dotychczasowych kontmanów. Sakowicz to widział, ale zamiast poprawy, pił na fantazję; częstokroć dnie całe przepędzał za domem, i wracał wśród nocy, nieprzytomny, odarty, mszcząc się na sprzętach i domownikach, za doznane w szynku od podobnych sobie pijaków, zniewagi.

Rozpacz ogarniała nieszczęśliwą kobietę, zasyłała ona gorące modły do Przedwiecznego Pana o upamiętanie dla męża, ale złe szło coraz daléj, porządniejsza czeladź opuściła warsztat, robota całkiem ustała, oszczędności, jakie były z lepszych czasów, poszły na życie i trunek, a działo się to wśród zimy; nie było drzewa na komin, komorne niezapłacone, trzeba się więc było wziąć do sprzedaży towaru i sprzętów.

Ilekroć Sakowicz wrócił do domu, i widział przybliżającą się nędzę, dzieci obdarte i głodne, tyle razy robak sumienia ugryzł go w serce, którego by uśpić, porywał za flaszkę, pił bez pamięci, dla odurzenia się trunkiem; wtedy tłukł i rozbijał pozostałe jeszcze sprzęty, czem popychał rodzinę do zguby; kłócił się z żoną i katował dzieci (gdyż po pijanu był awanturnikiem); przez pomrokę trunkową czuł on instynktownie złe, które czynił, ale nie miał już mocy oprzeć się zgubnemu nałogowi.

Pewnego wieczora powrócił Sakowicz z miasta dobrze podchmielony, mając jednakże nieco przytomności; w izbie było zimno, dzieci już się spać pokładły, tylko żona czuwała, czekając na męża. Sakowicz usiadł ponury, spojrzał na żonę wynędzniałą i źle odzianą, na izbę pustą, i sumienie się odezwało, jakiś dreszcz zimny przebiegł jego członki, wstał więc ze stołka i poszedł po flaszkę, ale flaszka była pusta; to go rozdrażniło.—Czemu nie ma w flaszce wódki?—ozwał się ochrzypłym głosem do żony.—Bo mój drogi, odrzekła żona, ostatnie pieniądze, jakie miałam ze sprzedaży rzeczy poszły na chleb dla dzieci.—To nie prawda, zawołał, ty musisz mieć jeszcze pieniądze; idź więc i przynieś mi wódki.—Mężu, upamiętaj się, rzekła żona, załamując ręce, gubisz nas wszystkich.—Co, jeszcze wymówki? krzyknął mąż zapalając się, albož nie jestem panem u siebie, każę ci iść natychmiast po wódkę.

— Ale przysięgam ci, że nie mam ani grosza.

— Co, nie chcesz, krzyknął mąż, to masz za swoje, i to mówiąc, uderzył żonę w głowę trzymaną w ręku flaszką, która się na kawałki rozprysła.

Sakowiczowa pod silnym razem padła na ziemię krwią zbroczona. Widok krwi przywiódł męża do upamiętania, wytrzeźwiał natychmiast, cały ogrom popełnionéj zbrodni, ze wszystkiemi jéj skutkami przedstawił mu się w umyśle; klęknął nad żoną, skrapiając ją zimną wodą, i starając się do życia ją przywołać, przemawiał do niéj najczulszemi słowy, nazywając siebie zabójcą i złoczyńcą, rwał włosy z głowy, twarz jéj i ręce oblewał gorącemi łzami żalu, przysięgając poprawę życia.

Po niejakim czasie Sakowiczowa odzyskała zmysły, dosłyszała ona słów przywiązania i przysięgi, i nadzieja wstąpiła w jéj serce; „lepiéj mi,“ rzekła do męża, który pochwyciwszy ją w ramiona, zaniósł na łóżko—niechaj ten wypadek będzie tajemnicą dla dzieci, wypadek, który błogosławić będę, jeżeli cię zwróci na drogę poprawy. Po chwili wypoczynku, tak mówiła daléj do swego męża, który klęcząc przy jéj łóżku, powtarzał zaklęcia, że kropli wódki do ust nie weźmie. „Nie żądam, mój Wincenty, ażebyś wyrzekł się natychmiast, i to bezwarunkowo trunku, do któregoś przywykł od tak dawna, natura twoja nie zniosłaby tego bez szwanku, a twoje życie i zdrowie potrzebnem jest i dla mnie i dla naszych dzieci, albo powróciłbyś wkrótce do zakorzenionego już nałogu, i zgubił swoję duszę, co byłoby jeszcze gorzéj; tu potrzebną jest zupełna kuracya, dlatego przysiąż mi, że się nie wyrzekasz stanowczo wódki, ale że w jéj używaniu zastosujesz się do miary, jaką ci sama przeznaczę. Sakowicz opierał się nieco swéj żonie, zarzekając się, że ani kropli trunku w usta nie weźmie; ale rozsądna kobieta perswazją swoją odwiodła go od tego, i wymogła wykonanie żądanéj przysięgi przed wizerunkiem ukrzyżowanego Chrystusa, który nad łóżkiem jéj wisiał, którą też upokorzony mąż w żądanéj formie wykonał.

Nazajutrz Sakowiczowa postarała się przedewszystkiem u znajomego im majstra o robotę dla męża, i pożyczenie nieco pieniędzy, za które kupiła między innemi flaszkę wódki, którą wzięła pod swój klucz, z niéj udzieliła mężowi w ciągu dnia kilka kieliszków, z oznajmieniem, że co dzień takąż samą liczbę ich otrzyma, zmniejszoną jedynie, o kroplę laku w kieliszek wpuszczoną. Jakoż co dzień do kieliszka wpuszczała po kropli laku, który po kilku tygodniach otwór kieliszka całkowicie zapełnił, tym sposobem Sakowicz odwykał stopniowo od trunku, bez szwanku na zdrowiu, stawał się weselszym i zdolniejszym do pracy, z którą powracał dobry byt, tak iż do dziś Sakowicze, jakkolwiek nie przyszli jeszcze do dawniejszéj zamożności, wszakże niedostatku nie znają, i pełni są otuchy, że przy Bożéj pomocy chleba im nie zabraknie.

Kieliszek lakiem napełniony chowa Sakowicz, jako drogą pamiątkę swego nawrócenia, a ilekroć spojrzy na czoło żony, na którem lekkie ślady skaleczenia pozostały, tyle razy łzy stają mu w oczach, które skrycie ocierając, ponawia w duchu przysięgę niepowracania do nałogu, będącego źródłem tylu występków.

Przysłowia.

Gdy rodzina żyje w zgodzie,
To jéj bieda nie dobodzie.
Coś uczynił dobrego,
Nie żałuj nigdy tego.
Co ciało lubi,
To duszę gubi.

Sprostowanie. W niektórych egzemplarzach Nru 4, str. 1, wiersz 5, zamiast „*dwudziestego*,“ ma być „*czterdziestego*.“

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować.—Warszawa d. 26 stycz. (7 lutego) 1856 r.—Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*